Nr. 19. We Lwowie dnia 7. maja 1894. Rok II.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

WOJCIECH SZUKIEWICZ.

Kilka dni w Chorwacji.

II.

Doktora praw, p. Prebega, zastałem w kancelarji przy pracy; odczytawszy list p. Grabowskiego, przyjął mnie uprzejmie i przyrzekł osobiście zaprowadzić do biskupa, do którego sam śmiałości iść nie miałem. Ponieważ naznaczyliśmy wizytę na wpół do dwunastej w południe, przeto miałem czas wrócić do hotelu i tam jeszcze słów parę napisać. Gdy i to skończyłem, ruszyłem na spacer po Diakovie, który sam Prebeg nazwał »selem«. Istotnie jestto więcej sioło, wieś, niżeli miasto. Nawet opisywać nie ma co — więc przejdę do porządku dziennego.

Ks. biskup Strossmajer, człowiek stary już i nad grobem stojący, dowiedziawszy się, że jestem Polakiem i jeżdżę w celach publicystycznych, oznajmił mi bez ogródek, że wiele się od niego spodziewać nie mogę, z góry bowiem jest do każdego Polaka a zwłaszcza publicysty uprzedzony. Potępił on obecne stanowisko Polaków galicyjskich, którzy ze wszech sił popierają Niemców i Madjarów, a z resztą Słowian zupełnie zerwali. Oświadczył mi, że jeżeli chcę jakiegoś polecenia, to mi go nie da, bo musiałby wiedzieć, komu go daje, a mnie przecie zgoła nie zna. Wspomniałem, że właśnie jestem młodym słowianofilem i że już przeciwko Madjarom i Niemcom niejednokrotnie pisałem, to go jednak wcale nie wzruszyło, bo oczywista niczego sam nie czytał i musiałby mi wierzyć na słowo, czego uczynić nie chciał. Ks. biskup otrzymał zaproszenie na Wystawę lwowską, ale na nią nie pojedzie, co naturalnie wogóle na odwiedziny Chorwatów mocno niekorzystnie wpłynie. Audjencja wobec niemiłej atmosfery trwała krótko i niebawem znalazłem się na ulicy, gdzie oddałem się różnym smutnym rozmyślaniom. Do takich rezultatów praktycznych prowadzi polityka naszego Koła polskiego, złożonego w kolosalnej części z ludzi, pozbawionych charakteru i szerszej myśli politycznej. Dla karjery i zysków osobistych zapominają o interesach narodu i słowiańszczyzny całej. I zaiste smutnego doczekamy się końca, jeżeli Galicja nie otrząśnie się wcześnie z tego letargu politycznego i nie wyszle do Wiednia ludzi, którzy więcej o naród, niżeli o siebie dbać będą.

Wprawdzie mam nadzieję dać sobie radę i bez listów polecających ks. Strossmajera, ale przecież byłyby mi one nie jedno może ułatwiły. Tak tedy odbiła się na mojej skórze działalność Koła polskiego. Już z nami w Słowiańszczyźnie i mówić nie chcą, nie chcą mieć z nami żadnych stosunków nawet literackich. Ejże! przestańmy, bo się źle bawimy i źle na tem wszystkiem wyjść możemy. Nie bratajmy się z wrogami imienia słowiańskiego, bo bratnie ludy odwrócą się od nas.

Zimne przyjęcie ks. biskupa nie przeszkodziło wcale p. Prebegowi zaprosić mnie do siebie na obiad. Rozumie się samo przez się, że zaproszenie bardzo skwapliwie przyjąłem i to nie tylko dla tego, że nie miałem nic lepszego w Diakowie do roboty, ale i dla tego, że ciekawy byłem bardzo poznać pierwszego Chorwata, jakiego mi los nadarzył. Stawiłem się ściśle na

godzinę $12\frac{1}{2}$, a zbliżenie się między nami rozpoczęło się od śliwowicy, mocnego trunku narodowego, którego wypiliśmy po dwa kieliszki, poczem rozwiązały się nam języki. Niestety, posługiwaliśmy się przeważnie kochaną niemczyzną, którą obaj rozumieliśmy i władaliśmy nie najgorzej. Pani domu, córka poety i pisarza chorwackiego Tomicza, nie była w Djakowie, zastępowała ją więc siostra gospodarza, bardzo miła osoba, z którą mnie bliższe zaraz połączyły stosunki.

Zwyczajem Chorwatów jest dawać każdemu gościowi towarzyszkę, aby mu weselej było w życiu. Otóż p. Prebeg dał mi za towarzyszkę swoją siostrę Maricę, chociaż już narzeczoną, co rzeczy wcale nie przeszkadza. Na cześć gościa i jego »tovariszicy« pije gospodarz kieliszek wina, a zwyczaj każe gościowi odpowiedzieć w imieniu »tovariszicy« i swojem toastem na cześć gospodarza respective gospodarstwa, co też chętnie uczyniłem.

Rozgadaliśmy się o stosunkach chorwackich, które muszą być mimo wszystko nie złe, skoro według zapewnienia p. Prebega dukat w kieszeni chorwackiego włościanina nie jest wcale rzadkością. Położenie materjalne jest nie tylko znośne ale nawet dobre, ztąd o emigracji do Ameryki nie ma i mowy. Emigrują tylko Dalmatyńcy, bliżsi morza i chętniejsi do podróży.

Wszyscy inteligentni Chorwaci mówią po niemiecku ale prawie wcale nie rozumieją po madjarsku, stąd czterdziestu posłów, wysyłanych do parlamentu peszteńskiego nie może brać wcale udziału w obradach. Madjaryzacja nie robi wielkich postępów, gdyż Chorwaci trzymają się mocno swojej autonomji, ale wciska się w te sprawy, które zostały uznane za wspólne, jak: finanse, gospodarka krajowa i koleje żelazne. Zapewne Chorwaci mają to i owo do żądania, ale w każdym razie ich położenie jest przepyszne w porównaniu z położeniem biednych i opuszczonych Słowaków, których Madjarzy gnębią zaciekle i zupełnie bezkarnie. Po skończonej pogawędce pożegnałem uprzejmego gospodarza, spieszącego do zajęć fachowych, a sam wypocząwszy w hotelu i napisawszy słów parę, wyruszyłem piechotą do Vrpolje, aby trafić na pociąg, jadący do Zagrzebia.

Rok 1848 w Krakowskiem i w Galicji

przez

Bolesława Limanowskiego.

IV.

Oprócz członków sejmowych, Rada narodowa powołała jeszcze do swego koła takich zasłużonych patrjotów, jak Karol Szajnocha, August Bielowski, jeniec kaukazki, Karol Hubicki, Wiktor Heltman. Dla skuteczniejszej pracy, podzieliła się ona na ośm wydziałów, a nadto pod jej kierunkiem zawiązywały się rozmaite stowarzyszenia z pewnymi celami specjalnymi. Na jej ogłoszeniach i rozporządzeniach drukowanych stało na czele wielkiemi literami wypisane hasło rewolucyjne: »Wolność, Równość i Braterstwo«. Rady obwodowe, które potworzyły się we wszystkich częściach kraju, uznały ją za naczelną swą władzę. Mogły one zawsze liczyć na poparcie gwardji narodowej, która zorganizowała się po miastach; a nawet po wsiach zaczęto tworzyć konne i piesze jej oddziały.

Stadion, przekonawszy się, że siła zbrojna nie była ani dostateczna, ani też pewna, zwłaszcza tam, gdzie stały pułki węgierskie, do złamania »żelaznymi argumentami« oporu Rady Centralnej i rad obwodowych, wolał ustąpić chwilowo i działać »pół-środkami« — jak sam się wyrażał — a te pół-środki polegały na wytwarzaniu w łonie samego narodu organów wrogich rewolucyjnemu ruchowi.

Takim organem była przyboczna Rada gubernatora (Beirath), którą on utworzył dnia 3. maja. Złożył on ją z wyższego duchowieństwa, bogatej szlachty i czarno-żółtych urzędników. Nie wiele jednak miał on z niej pociechy, ponieważ pogardzona przez świetlejszą część społeczeństwa, nie zdołała ona zmniejszyć wpływu i znaczenia Rady Narodowej.

O wiele groźniejszymi okazały się dwa inne organy reakcyjne: Stowarzyszenie Ziemiańskie, które zawiązało się 3 maja, i Rada Narodowa Ruska, którą Agenor Gołuchowski wyłonił z bejratu Stadionowskiego. Członkowie bejratu, księża: Jachimowicz, Kuziemski i Malinowski stali się filarami Rady Ruskiej.

Stowarzyszenie Ziemiańskie pozostawało także z bejratem nie tylko w moralnej, ale i osobistej łączności. Członek bejratu Gwalbert Pawlikowski był duszą tego stowarzyszenia. Piotr Trzciński, także członek bejratu, należał do gor-

liwych jego szermierzy. Oceniając gruntownie program tego stowarzyszenia, Leon Rzewuski w »Postępie« (nr. 35) przyszedł do tego wniosku, że właściwym jego celem było: 1. »Ugruntowanie arystokracji, silnie spojonej. 2. Opanowanie napowrót ludu wiejskiego. 3. Ograniczenie jego własności, albo wywłaszczenie włościan przez kupno«. Na ubolewanie o »rozerwaniu węzłów patrjarchalnych«, słuszną on zrobił uwagę: »Te węzły jakie były, wiemy, tę patrjarchalność pamiętamy; wiemy, że ten stosunek miał za skutek »wypolszczenie« włościan, i że stał na przeszkodzie odrodzeniu się ojczyzny. Organem Stowarzyszenia Ziemiańskiego była »Polska«, redagowana przez Hilarego Meciszewskiego i Antoniego Walewskiego w tak wstecznym kierunku, że zecerzy lwowscy oświadczyli, iż tego pisma składać nie będą. Podobneż oświadczenie złożyli i co do »Zorzy Halickiej«, organu Rady Ruskiej. Skutkiem tego, oba te zacne organy przestały wychodzić.

Stadion już w początkach ruchu rewolucyjnego w Galicji użył duchowieństwa ruskiego do osłabienia i krzyżowania polskich rewolucyjnych dążności. Głównem jego narzędziem był ksiądz Grzegorz Jachimowicz, staraniem jego wyniesiony na biskupstwo przemyskie. Myślą Stadiona było nie tylko rozdwoić usiłowania obu narodów, ale nawet przepołowić cały kraj politycznie na dwie części, ażeby zmniejszyć jego znaczenie w porównaniu do innych krajów austrjackich.

Galicja, z którą wówczas połączona była i Bukowina, przedstawiała imponującą polityczną całość (1500 mil kwadr. z 5 miljonami ludności), tak że w Wiedniu w sferach ministerjalnych uważano za rzecz możliwą wyodrębnienie jej polityczne na sposób Węgrów. Biurokracja austrjacka, która w takim razie musiałaby opuścić Galicję, ulękła się tego i wszelkimi środkami starała się temu przeszkodzić. Prawdopodobnie ona to narzuciła Stadionowi plan przeciwstawienia Rusinów Polakom. Jakkolwiekbądź, Jachimowicz na początku kwietnia zajął się ułożeniem i wysłaniem w imieniu ludu ruskiego podania do cesarza, które zostało doręczone temu ostatniemu w dniu 19 tegoż miesiąca. Nie ograniczając się na zaznaczeniu odrębności narodowej Rusinów, tchnęło ono niechęcią ku całemu ruchowi, usiłującemu przeistoczyć państwo tak pod względem politycznym jak i społecznym. Był to właściwie adres nie ludu ruskiego, ale biurokracji i jurokracji*), zespolonych razem.

Nie w interesie też uniezależnienia narodowości ruskiej, Agenor Gołuchowski podał myśl utworzenia nowej Rady, która pod pozorem obrony interesów ludu ruskiego była właściwie narzędziem reakcyjnem, jak to dowiodła cała jej czynność późniejsza. Rada ta, nazywając się Ruską, z równąż słusznością mogła się nazwać rusko-niemiecką, albowiem obok świętojurców zasiedli w niej znani ze swego reakcyjnego sposobu myślenia urzędnicy niemieccy. Organizowaniem rad obwodowych ruskich — jak świadczy Karol Widmann — zajmowali się znowu nie Rusini, ale Niemcy. Walczono przeciwko rewolucyjnemu wpływowi polskiemu, a narzucano reakcyjny wpływ niemiecki. W tym też celu jedynie starano się przeprowadzić podział Galicji na dwie gubernje, i cesarz już był podpisał ten podział 19. czerwca, ale demokraci polscy — jak donosił Smolka z Wiednia — »brevi manu kark mu skręcili«. Główna Rada ruska*) nie uważała jeszcze tej sprawy za przegraną i podała pod dniem 17. lipca prośbę o podział i wysłała do Wiednia »haniebny memorjał Świętojurców przeciwko Polakom« — jak się wyraża Smolka w liście do swojej żony.

Dla krzyżowania szkodliwych działań tej Rady, demokraci polscy zawiązali Sobor ruski i zaczęli wydawać »Dziennik Ruski« (Dnewnyk Ruskij). Na odezwie Soboru z dnia 8. czerwca znajduje się 64 podpisów. Z więcej znanych osób tam się podpisali: Kacper Ciąglewicz, Emil Czyrniański, Włodzimierz Dzieduszycki, Henryk Jabłoński, Michał Popiel, Zygmunt Sawczyński, Szemelowski, Jan Zacharjasiewicz, Władysław Zawadzki. Odezwa ta powiadała, że Rada narodowa ruska, jako złożona z księży, mogła się zajmować sprawami tylko kościelnemi; Soborowi zaś przyznawała większe prawo do przedstawiania interesów narodu ruskiego, ponieważ członkami jego byli przedstawiciele wszystkich stanów. Na haniebny memorjał Świętojurców napisał Ciąglewicz dokładne i gruntowne wyjaśnienie, które przetłumaczone na język niemiecki zostało ogłoszone drukiem w Wiedniu**).

Z Żydami nie udało się biurokracji austrjackiej tak łatwo, jak z Rusinami. Zwłaszcza inteligencja żydowska, z usposobienia rewolucyjna, łączyła się chętnie z demokratami polskimi. Nie widząc żadnego interesu w łączeniu się z ludnością niemiecką, która w Galicji była nieliczna i w młodem pokoleniu spolszczona, jak tego dowodem byli członkowie Rady Narodowej, tacy jak: dr. Piotr Gross, dr. Albin Ruebenbauer, jeden z komendantów legjonu akademickiego itd., okazywała ona gotowość do przyjęcia narodowości polskiej.

---

*) Wyrażenie, używane przez Leona Rzewuskiego, dla oznaczenia Świętojurców.

*) Odezwy jej zmieniły brzmienie i pisownię samej nazwy: z dnia 21. listopada 1848 r., skierowana przeciwko Węgrom i Polakom, brzmiała: „Ot hołownoj Radi ruskaho narodu halickaho“; z dnia 1. stycznia 1849 r., ujadająca na Węgrów, miała tytuł: „Ot Radi Gołownoj Ruskoj“.

**) Die Roth-reussische Angelegenheiten. Wien. 1848.

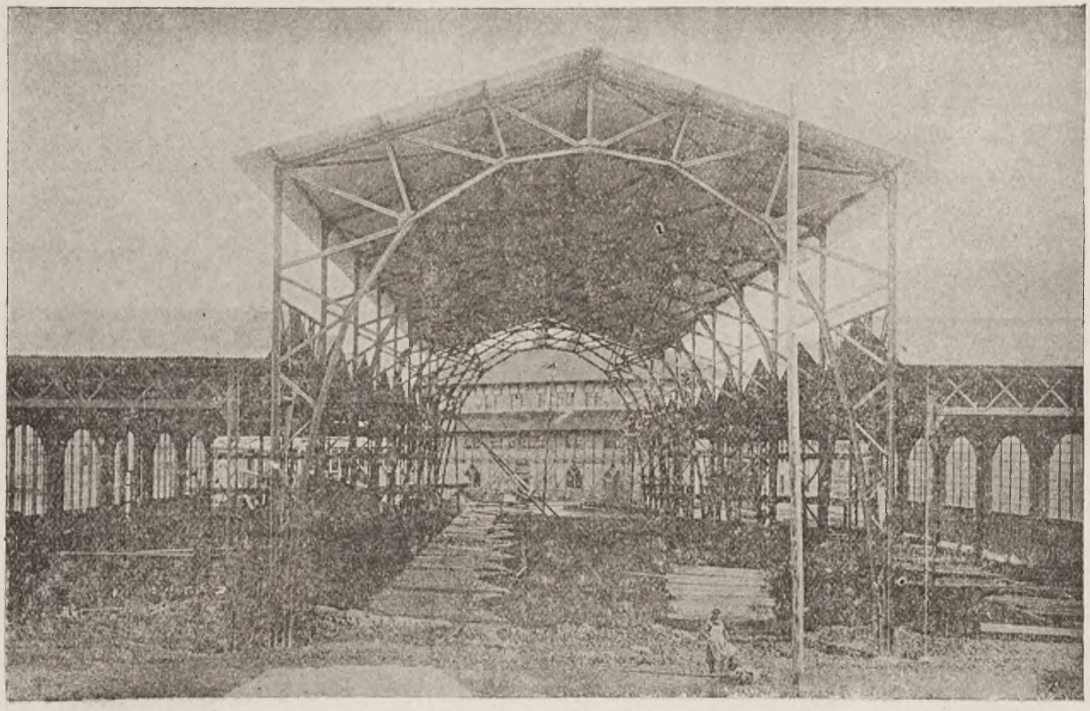


Przy robocie.

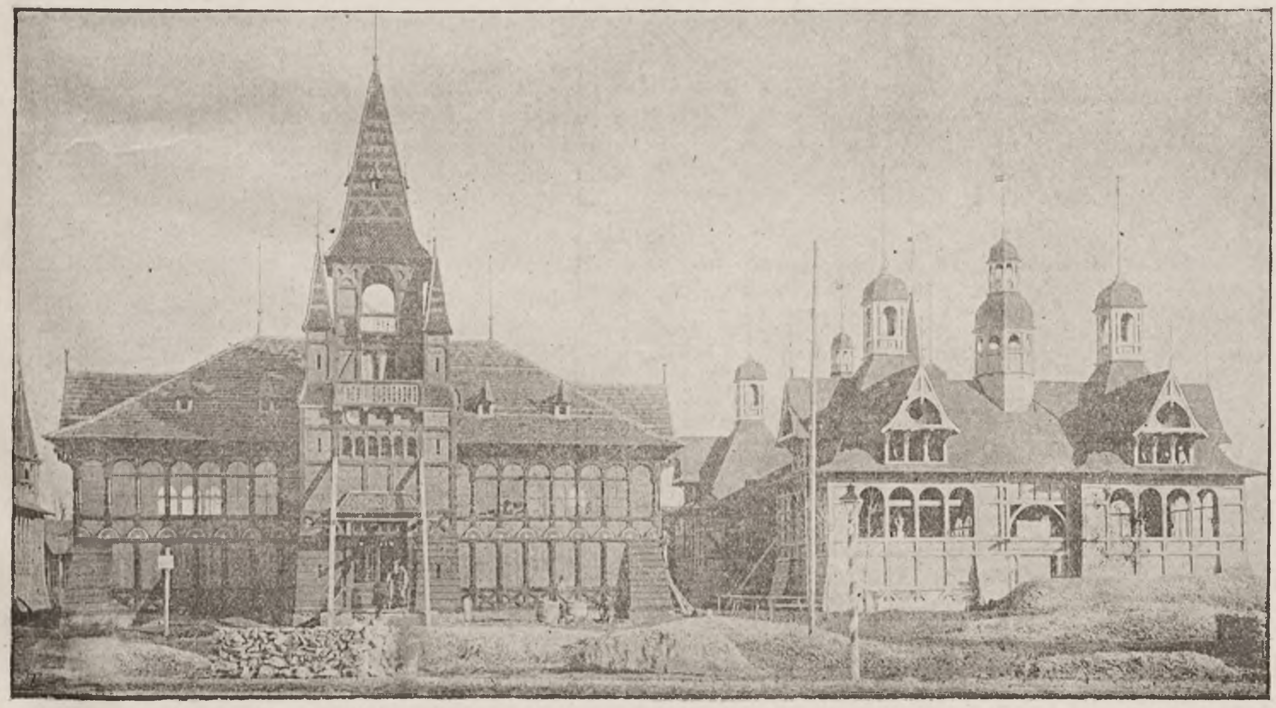


Chata huculska.

Wystawy.



Hala maszyn.



Pawilon Rady szkolnej. Pawilon Wydziału kraj. (szkoły przem.)

SONET.

Myśmy aktorzy na życia scenie,
I wszyscy mamy rozdane role:
Jeden z koroną kroczy na czole,
Posłuch znajduje na swe skinienie;

Drugi łatane nosi odzienie,
Żyje nieznany wśród tłumu, w dole,
Trud ma w udziale, gorycze, bole...
I w nędzy wyda ostatnie tchnienie.

Lecz, królu, nie bądź dumny z swej roli!
I tyś aktorem, i tyś w niewoli
I słuchać musisz też reżysera.

A w piątym akcie z Autora woli,
Zarówno żebrak, jak król umiera —
Kurtyna spada na znak suflera.

St. B.

JERZY GROT.

DZIEŃ POWSZEDNI.

III.

— Nieś tatuś zlobi »cio ja widzie«.

»Nieś« — to znaczy: niech. Biorę ją na ręce i podnoszę do góry, później Żuczek powtarza za mną.

— Gdzie ja jestem?
— Dzie ja jetiem.
— Co ja widzę?
— Cio ja widzie.
— Hop na ziemkę!
— Hop na ziemkie!

Nazywa się ta zabawa: »cio ja widzie«. Żuczek po każdem zsadzeniu »na ziemkie« powtarza, zanosząc się od śmiechu:

— Jeście — cio ja widzie.

Jadzi nawet to nie wywabia z drugiego pokoju. Robi mi się naraz dziwnie smutno i całując Maryjkę, szepczę:

— Niech Żuczek idzie do mamusi,

— A tatuś gdzie będzie?

— Tatuś sobie pójdzie do miasta.

Właściwie nie miałem tego zamiaru. Maryjka trochę obrażona pędzi do mamusi, a ja zaczynam powoli szukać kapelusza, paltota, laski. Jadzia dwa razy staje we drzwiach, jakby nie mogąc wykrztusić czegoś — wreszcie nie mam już pozoru zwlekać dłużej i biorę za klamkę. Jadzia wreszcie zdobywa się na odwagę.

— Czy na długo wychodzisz?

Skąd raptem bierze się suchy ton, którym jej odpowiadam.

— Prawdopodobnie nie wrócę na herbatę.

Jadzia znowu milczy.

— W takim razie... przepraszam cię... już nic.

Wzruszam ramionami i wychodzę.

— Zresztą... proszę cię o te pieniądze.

Mówiąc te słowa cała czerwienieje i nawet nie patrzy na mnie, a ja po raz drugi doznaję wrażenia, jakbym został spoliczkowany: zapomniałem! A przecież o tem myślałem przez cały dzień!...

*
* *

Jakież to marne!

Doprowadzić ją do tego, żeby się czuła poniżoną, prosząc o pieniądze, które jej są potrzebne! Pokazuje się, że nie trzeba być bydlęciem, ani t. z. tyranem, żeby deptać po cudzej duszy — dość jest być inteligentnym samcem i posiadać nerwy. Jakiś jasny czy może wprost bezczelny chłód przesuwa mi w mózgu te refleksje powszednie, jak paciorki codziennego różańca. O, znam i to — ten niby bezlitośny sąd nad sobą, polegający na dobieraniu w myśli energicznych epitetów. Znam to. Ostatecznie jest to tylko cynizm, który w danym np. razie odwraca uwagę od właściwego przedmiotu. Że to jest brutalne, marne, nędzne — to wiem. Ale jak się tego ustrzedz, co zrobić, żeby się podobne sceny nie powtarzały?

W przeszłym tygodniu zrobiłem jej awanturę o późne siedzenie nad jakąś książką — i także nie miałem racji, bo książka była pilna. Ostatecznie, nawet chyba kobieta ma prawo przesiedzieć parę godzin nad czemś, co ją zajmie. Kiedyś znowu miała scenę za mieszkanie... Rzeczywiście, że to był zły pomysł oszczędzać na jednym pokoju: po prostu za często teraz plączemy się sobie pod nogami. Mieszkanie stanowczo musimy wziąć większe.

Ta decyzja niespodziewanie powzięta w toku refleksji, przepełnia mię poczuciem pewnej stanowczości i budzi z niepamięci, w której przebiegłem aż do Łazienek. Czuję w sobie teraz trzeźwość ludzi jasno patrzących na rzeczy i pogrążam się w rachunki. Jednak teraz to niedługo...

Powoli gromadzą się znowu jakieś drobne ukłucia nerwowe — przedewszystkiem zaczyna

mię nękać opłakany widok aleji, pokopanych do kanalizacji, drzew gołych po obu stronach drogi i żółtych liści, przypluśniętych błotem tu i tam do asfaltu. Z nieprzyjaźnią rozmijam się z jegomościami, odbywającymi poobiednią przechadzkę dla trawienia, z boną, prowadzącą parkę po szkocku ubranych dzieci.

— Wszystko to jest farsa — mówię z żółcią — wcale tu nie o pieniądze chodzi. Co np. mają pieniądze do tego, żem wtedy to jadło ze złości cisnął przez okno? Po prostu jest to znerwowanie obustronne. Znerwowanie obustronne albo i nie: dlaczegoż ja z dziećmi nigdy głupstw nie robię? Przecież Jadzię także często nazywam »trzeciem dzieckiem?« Nie o pieniądze chodzi: z matką np., z przyjacielem rzeczy stałyby w każdym razie inaczej. To trudno.

Z Jadzią jeszcze chyba żadne nieporozumienie nie skończyło się inaczej, jak na pocałunkach. Ileż razy łapałem siebie na tem, że kiedy ona mi coś mówi poważnie, ja patrzę na jej oczy czy usta! Zresztą i o to były sceny.

I przypomina mi się znowu jeden z epizodów, kiedy jeszcze przed Maryjką, pogniewaliśmy się z nią o jakąś przyjaciółkę, której ja nie lubiłem. Pamiętam, jak mi później Jadzia dowodziła z zapałem o moralnej wartości tej pani, jak jej zamknąłem usta pocałunkiem i jak mi się wówczas wyrwała z płaczem i oburzeniem.

— Ty mnie zawsze traktujesz albo jak dziecko, albo jak... kochankę... To trudno.

* * *

W cukierni panuje jeszcze poobiednia nuda. Politycy nie poschodzili się, sala bilardowa pusta. Resztki dziennego światła tułają się po kątach, przez szyby widać kawał oficjalnego blado-błękitnego nieba, które chmury odsłoniły na odwieczerzu. Jestem zmęczony przechadzką i piję już drugą szklankę kawy czarnej. Dogadza mi w tej chwili stan pół-umyślnego roztargnienia — co ja tam będę robił tragedje z rzeczy zwykłych!

Z miasta dolatują dźwięki dzwonków tramwajowych i turkot dorożek; za chwilę po obu stronach Marszałkowskiej błyśnie podwójny szereg latarni. Bezwiednie prawie ruszam ku oknu i oddaję się jałowym obserwacjom. Domy powlekają się coraz bardziej monotonną, szarą barwą — która robi na mnie zawsze wrażenie pustki i samotności. Pierwsze światło zapalono w sklepie narożnym — dość ciekawy widok. Przedewszystkiem okno to robiło wrażenie nie światła, ale jakiejś oranżowego odcienia żółtej barwy; później — w miarę jak ciemniało dokoła, oranżowa barwa stawała się żółtszą i nabierała przeźroczystości — okno wyglądało jak słabo oświetlone przeźrocze. Teraz widać już blask padający z głębi i kontury wystawionych przedmiotów odcinają się wypukło...

Latarnie już płoną — od ulicy rośnie hałas dzwonków i dorożek; nastąpił już charakterystyczny przełom dnia przed wieczorem — zaczyna się życie ruchliwsze, gorączkowe, wieczorne.

Pędzą jacyś panowie w cylindrach, panie śpieszą do domu z pakunkami. Ogarnia mię jakby zazdrość na widok tych ludzi spieszących gdzieś, do czegoś. Sam czuję się podnieconym i radbym pójść — dokąd? Zazdroszczę panu w cylindrze, który wpada z niezmiernym pośpiechem do fryzjera — zazdroszczę im tej poobiedniej krętaniny. Dokąd by pójść?

Drzwi do cukierni otwierają się teraz bezustannie i stół pod lampami jest już prawie cały udrapowany w łysiny, czupryny i płachty świeżej bibuły gazeciarskiej. Z trudnością dostaję »Kurjera« i na chwilę zagłuszam pytanie dokąd pójść? Czyjaś ręka dotyka mego ramienia.

— Jak się macie! — cóż to, nie poznajecie ludzi na ulicy?

A — to kolega — pedagog. Na szczęście nie czeka odpowiedzi i zagaduje dalej.

— Cóż u was słychać? — u mnie panie po staremu — bryndza.

Kolega ma pełno swoich lokucji w rodzaju »bryndzy«, któremi szafuje obficie. Jest zaś z tego względu przyjemny, że zadając pytanie, nigdy nie rachuje na odpowiedź. Przez chwilę czytamy w milczeniu.

— Ale, ale — woła kolega — mam tu was zaprosić na pewną sesję.

Tu zniża głos i zaczyna wyłuszczać jakiś »punkt«, co do którego »pewna grupa ludzi chce się porozumieć«. Znam ten punkt i ową grupę, nie mam wielkiej ochoty do sesji, ale kolega już z góry osądził, że zaproszenie przyjmę. Zresztą — dlaczego nie?

— Kiedyż sesja owa?

— W piątek o ósmej u mnie.

— Szkoda, że nie dziś.

— Co? chcielibyście może o tem pierwej pogadać ze mną? doskonała myśl: chodźcie, uważacie, teraz zaraz na Żórawią — to się umówimy z nimi, czego się trzymać.

Na razie przystaję na tę propozycję, tem bardziej, że kolega już wstaje i płaci za mnie i za siebie.

— Ale dajcież spokój — już za siebie zapłaciłem.

Przy wyjściu zostaję schwytany pod ramię, i niejako przytroczony do kolegi, poddaję się jego obfitej wymowie.

— Czego ja właściwie tam idę? Po pierwsze, kwestja sama nie jest tak bardzo znów ciekawa, a powtóre będzie dość czasu na sesji.

Na rogu Żórawiej z mocą wysuwam się z objęć kolegi.

— Nie, przepraszam was, ale przypomniałem, że dziś mam inne zajęcie — nie mogę.

Kolega się dziwi, później żałuje — wreszcie zgadza się, pod warunkiem, że nie zapomnę o sesji.

— Pamiętajcie — piątek, ósma!

Wytrząsa mię za rękę i wyrzuca z siebie ulubioną lokucję.

— Sursum corda!

Czego się ten wścieka z uciechy?

Muszę teraz iść ku domowi, ale w drodze rozmyślam, czy nie mam czego do załatwienia na mieście? Może by do kogo wstąpić? Domy rodzinne nie nęcą. Na chwilę decyduję się pójść do dwóch starych kawalerów — malarza i literata, mieszkających razem. Ale w porę przypominam sobie ich nieodzowne serdelki, kajzerki i herbatę, cygara i złośliwe znęcanie się malarza nad świeżo otrzymanym »Kurjerem«, prócz którego zresztą nic nie czytuje. Co mi po nich?

Po raz drugi już mijam swoją ulicę — i nagle jak halucynacja staje mi przed oczyma Jadzia z Maryjką na kolanach i Antek, opowiadający o panoramie. Jest po siódmej — zaraz będą pili herbatę — zrobię im niespodziankę. Zdaje się, że ta myśl od początku rozmyślań o tem dokąd pójść, tkwiła w głowie — tylko nie mogłem jej napotkać w chaosie niepotrzebnych refleksji. Doznaję jednak małego niepokoju, zbliżając się po raz trzeci do swego zakrętu. I zbaczam raz jeszcze, ale po to, żeby wstąpić do handlu.

W handlu tłok kupujących, więc mam czas namyślić się co właściwie chcę kupić. Trzeba kupić wina dla Jadzi — biedactwo jest mizerne trochę, a doktor zalecił wino raz na zawsze. Żuczkowi i Antkowi kupię winogron. W końcu przypominam sobie, że nie będą może mieli nic do herbaty i kupuję szynkę w pęcherzu.

Teraz znowu czuję całodzienne zmęczenie — jest to jednak uczucie całkiem odmienne od poprzedniego — jest to zmęczenie wieczorne, połączone z pewnem podnieceniem. Czuję również dobrotliwość ojca rodziny, wracającego do domu; pakunki niosę troskliwie i nie bez przyjemności stukam laską przed sobą.

— Biedny mój Jadzik...

* * *

Dzieci posnęły już od dawna. Jadzia przynosi mi do biurka trzecią filiżankę herbaty i znowu dolewa wina, sama wraca do pokoju dziecinnego, gdzie przy zielonej lampie studjuje »Naukę o rzeczach«. Jest to przygotowanie do jutrzejszej pierwszej lekcji.

(Dok. n.)

Przegląd pism.

»Biblioteka Warszawska«. — Kwiecień. — 1894.

Dalszym ciągiem »Rodziny Połanieckich« Sienkiewicza i dokończeniem studjum historycznego Darowskiego p. t. »Spory dyplomatyczne o samozwańców«, o którem wzmiankowaliśmy w poprzedniem sprawozdaniu, rozpoczyna się omawiany zeszyt »Bibljoteki«.

P. Marja Konopnicka, jako poetka, jest przedmiotem rozprawy krytycznej Stan. Kozłowskiego (por. studjum p. Nowińskiego o tejże poetce w tegorocznem Ateneum«).

Opisowi geograficzno-ekonomicznemu stepowych czarnoziemnych przestrzeni dzisiejszej gub. Kijowskiej i sąsiednich wschodnich powiat. Podolskiej, poświęcona jest piękna monografja p. Ksawerego Chamca, której pierwszą część dał nam autor w kwietniowym zeszycie »Bibljoteki«.

P. Wł. M. Kozłowski w rozprawie p. t. »Pogląd na świat jako przedmiot historji«, porusza najistotniejsze zagadnienia historjozofji. Autor wychodzi z założenia, iż przedmiotem historji cywilizacji stają się coraz bardziej dzieje myśli ludzkiej. Wprawdzie »w wiedzy i sztuce, w literaturze popularnej i w dziełach specjalnych, w instytucjach państwowych i prywatnych, w religji, prawie i moralności, w zwyczajach i zabawach, wszędzie odbija się jakaś cząstka tego wszechludzkiego ducha, który nazwać możemy myślą ludzkości, nie każdy wszakże z tych zakresów ma jednakowe znaczenie i jednakową rozległość oddziaływania... Biorąc myśl w ściślejszem znaczeniu — jako władzę pojmowania — za wytwór jej najogólniejszy uważać powinniśmy p o g l ą d n a ś w i a t, jako ujęcie w całość wszystkich dostępnych nam zjawisk«. Nie znajdziemy jednak całości dziejów tego »poglądu na świat« w historji filozofji, gdyż poza garstką filozofów, wyniki myśli których w stopniowym rozwoju przedstawia historja filozofji, stoją całe masy społeczeństwa, wytwarzające swoje własne odrębne »poglądy« na świat, będące owocem niesystematycznego filozofowania ogółu. Uwzględnienie tych poglądów, stanowiących atmosferę intelektualną epoki, wyjaśnienie ich wzajemnego stosunku do siebie i do filozofji danej epoki, przedstawienie walki, toczącej się pomiędzy nimi — dać dopiero może pełny obraz umysłowości danej epoki.

Takim wymaganiom, zdaniem autora, w części czynią zadość prace: Falkenberga »Historja filozofji nowożytnej« (przekład polski wychodzi obecnie), »Dzieje oświaty« Lecley'ego i »Historja materjalizmu« Langego.

P. Kaszewski w artykule p. t. »Poeta barokowy« zapoznuje nas z Janem Andrzejem Morsztynem ex re wydanych w roku zeszłym pod redakcją P. Chmielowskiego utworów tego poety i studjum o nim E. Porębowicza.

Oprócz wymienionych artykułów znajdujemy w omawianym zeszycie kroniki: galicyjską i miesięczną, oraz zwykłe działy: sprawozdań literackich i wiadomości bibljograficznych.

p.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.